

Szalona zagroda



STEFAN GRABIŃSKI

W POMROKACH WIARY

Szalona zagroda

W poblaskach stoję słonecznych, w strugach się pławię pokrławia¹ — a wichry nade mną tak smętnią, a wichry tak kwilą nad głową...

W step patrzę pusty, rozległy, w step patrzę zielskiem zmacony — a kruki się żalą nade mną, a kruki nade mną tak płaczą...

Samotny stoję w rumowiu, bezdomny ojciec bezdzietny — a rozpacz po gruzach się tłucze, a rozpacz po szczerbach się ślania...

Na kresach chmury się prężą, na skłonach, chmury się stałą — dym płachtę zarzucił na oczy, w krtań więzgną², wrzynają się sadze...

Wczoraj wróciłem z zakładu: nie jestem już szkodliwy. Niech i tak będzie. Lecz przysięgam, że każdy na mym miejscu, w podobnych okolicznościach doszedłby w końcu tam, gdzie ja...

Nie jestem chory i nie byłem nim nigdy — nawet wtedy... tak... nawet wtedy. To, co zrobiłem, wynikało nie z jakiegoś zбочenia, lecz było konieczne, jak nimi są przejawy żywiołów, jak śmierć i życie — wynikało ze środowiska z oczywistością niezachwianą. Nie jestem i nie byłem nigdy psychopatą!

Natomiast byłem skończonym sceptykiem; nie przywiązywałem się do żadnej zasady czy doktryny — nie ulegałem nigdy sugestii. Pod tym względem stał za mną na wprost przeciwnym biegunie mój przyjaciel K., którego wówczas uważałem za człowieka niezwykle przesydnego. Jego dziwaczne, niekiedy obłąkane poglądy i teorie wzbudzały we mnie stałe gwałtowną opozycję, a stąd ustawiczne spory, kończące się nieraz zerwaniem na czas dłuższy naszych wzajemnych stosunków. — A jednak zdaje mi się — nie ze wszystkim³ się mylił. Przynajmniej jedno z jego zapatrywań na mnie się fatalnie spełniło. Może dlatego właśnie, że przeciw niemu najzawzięciej występowałem, jak gdyby przeczuwając, że mu posłużę za formę objawienia się.

K. utrzymywał, że w pewnych miejscach muszą się odbyć pewne rzeczy; innymi słowy, że są pewne miejsca, których charakter, natura, dusza oczekuje spełnienia się wypadków, zdarzeń z nimi związanych. Nazywał to „stylową konsekwencją”, chociaż czułem w tym wszystkim pierwiastek panteistyczny. Cokolwiek bądź jeszcze pod tym rozumiał, nie zgadzałem się z zapatrywaniem podobnego rodzaju, unikając wszelkiego choćby cienia tajemniczości.

Myśl ta przecież nie dawała mi spokoju, a chęć wykazania jej bezpodstawności nęciła nawet po rozstaniu z K., z którym się już więcej nie spotkałem w życiu. Niedługo potem miałem zaspokoić moją ciekawość. — Stało się... i wyszedłem stamtąd w moim trzydziestym roku życia osiwiła jak starzec i złamany na zawsze. Włosy mi się jeżą na wspomnienie tej chwili strasznej, niezapomnianej, co zdruzgotała mnie doszczętnie.

I nie wiem, czemu jeszcze żyję i na co, i że w ogóle po tym żyć mogę. Bo w pokutę nie wierzę; zresztą nie czuję się winny...

Choć krwawo słońce zachodzi i szkarłat na głowę mi bluzga — nie czuję się katem...

Tylko za długa agonია, zbyt się pastwi nade mną.

¹pokrławie — krwawej barwy blask (tu: zachodzącego słońca). [przypis edytorski]

²więzgną — forma 3.os. lm: więzną (od czas. więznąć). [przypis edytorski]

³nie ze wszystkim się mylił — dziś popr.: nie we wszystkim (...). [przypis edytorski]

Choć pod wspomnieniem arterie tężeją, a w mózgu przewalają się kałuże krwi — czyste mam czoło i trupioblade ręce...

Tylko zbyt się odwleka mój koniec i za jasno wszystko rozumiem, za bystro... Dziwnie jakos' zaostrzyła mi się uwaga. Chłodny jestem jak stal i jak stal wrzynam się we własne tętnice...

A słońce gra, a słońce purpurą obrzuca...

Ociekam krwią, serdeczna krwią...

Byłem ojcem dwojga dzieci, naszych biednych dzieci. — Agnes kochała je do szaleństwa, więcej może niż mnie. I porzuciła przedwcześnie. Zmarła parę lat po przyjściu na świat młodszej dziewczynki.

Agnes moja! Moja słodka Agnes...

Śmierć ta rozstroiła mnie bardzo. Nie mogąc uspokoić się jednostajnym trybem życia, zacząłem podróżować wraz z dziećmi, które mi były jedyną osłodą tych czasów. Dla oderwania myśli od bolesnych wspomnień czytałem dużo, przerzucając się kolejno w tematy najrozmaitsze, od najbardziej wyuzdanych i brutalnych do pełnych mistycyzmu i symboliki. Przy tym nie zapominałem o K. i jego teoriach.

Pewnego razu zatrzymaliśmy się na czas dłuższy w mieście *** w zamiarze spędzenia tu miesięcy jesiennych. Samo miasto z cechami typowymi większych środowisk kultury i pełnym nerwem stolicy przedstawiało dla mnie najwyższy urok przez swe piękne okolice.

Do jednej z nich wybrałem się z dziećmi dorożką w pogodną, sierpniową niedzielę. Wypadłszy poza obręb miasta, przesunął się pojazd między dwoma szeregami topól, przeciął tor kolejowy i pomknął między pola. Byliśmy już pół mili za miastem, gdy po prawej stronie gościńca, nieco w głębi na pustkowiu zwróciła mą uwagę dość dziwna na pierwszy rzut oka budowla samotnie wzniesiona pośród zaniedbanego sadu i zupełnie niezamieszkała. Zatrzymałem dorożkę i sam poszedłem oglądać budynek.

Gdy zaciekawiony począłem rozpatrywać szczegóły, nagle spoza stosu rumowia przed chatą wysunęła się zawiędła starucha i, z lękiem przypadłszy do mnie, szepnęła:

— Panie rzućcie ten dom, póki pora, rzućcie, jeśli wam Bóg i dusza miła!

Po czym śpiesznie rzuciła się w bok i znikła w burzanach⁴.

Zajście to zaostrzyło tylko moją ciekawość i podnieciło chęć rozwiązania zagadki, jeśli w ogóle można tu było o czymś podobnym mówić. Po powrocie do domu miałem już plan gotowy: postanowiłem bezzwłocznie sprowadzić się do opustoszałej zagrody. Wydała mi się jakby stworzona do sprawdzenia wywodów mego ekscentrycznego przyjaciela; jeżeli miały jaką rację bytu, to tu powinny ją ujawnić. Uderzyła mnie mianowicie wspomniana scena przy ruderze, jako też niektóre szczegóły miejsca, zgodne z tym, co niegdyś słyszałem od K.

Co do sceptycyzmu, ten nie zmniejszył się bynajmniej; zachowywałem też chłodną rezerwę badacza-niedowiarka. Później dopiero miałem w roli obserwatora przejść w czynną; lecz to nastąpiło potem i bez mej świadomości.

Tymczasem pokusa była za wielka, żeby się jej móc oprzeć i nazajutrz zaopatrzony we wszystko sprowadziłem się z dziećmi do ustronnego domostwa. Co mnie na wstępie zdziwiło, to okoliczność, że gdy chciałem się w sprawie wynajmu porozumieć z gminą, nie robiono mi najmniejszych trudności i pozwolono zamieszkać za śmiesznie małą cenę. Swobodę miałem najzupełniejszą i nie potrzebowałem obawiać się przespiegów wsi, gdyż ludzie sami wymijali z daleka mą siedzibę i nieraz widziałem, jak przechodząc mimo, żegnali się zabobonnie. Tak więc całymi tygodniami nie widziałem ludzkiej twarzy, chyba gdy kto przejeżdżał traktem, co się jednak zdarzało rzadko, bo ruch na tej linii od kilku lat osłabł znacznie i przeniósł się o parę wiorst na zachód. Zacząłem więc obserwację.

Przede wszystkim zastanawiała sama zagroda. Budowa jej na pozór niczym nie różniła się od zwykłych domostw, jakie spotyka się na przedmieściach lub przydrożnych zajazdach, a przecież...

Skutkiem szczególnego zestawienia proporcji zdawała się coraz to bardziej zwęzać ku dołowi — tak, że podstawa w porównaniu ze szczytem była zadziwiająco mała i wątła; dach z górną częścią wprost przygniatał podwaliny. Całość dawała się przyrównać do cho-

Dom, Ciało

⁴burzany — zarośla, szczególnie kolczaste, złożone z ostów i łopianów. [przypis edytorski]

robiłwie rozwiniętego organizmu ludzkiego, który ugina się pod ciężarem anormalnego wybijania głowy.

Konstrukcja ta nadawała domowi charakter czegoś brutalnego, jakiegoś znęcania się silniejszego nad słabszym.

Nigdy nie umiałem sobie wytłumaczyć, jak mogła powstać i utrzymać się tego rodzaju budowa.

Podobne wrażenie robiły okna, w stosunku do ścian znikająco małe; wciśnięte w grube mury gubiły się niemal w ich okrutnym uścisku.

Tak przynajmniej wyglądało to zewnątrz, chociaż, jak się z czasem przekonałem, nie były tak wąskie w rzeczywistości, a przepuszczały tyle światła, ile w zwykłych warunkach okna znacznie większe.

Do tego przyłączał się drapieżny wygląd rudery skażonej mnóstwem dziur i wyłobień; wyglądające z nich cegły pokrywały mury niby pryszczami zakrzepłej posoki⁵ obryzgującej ściany.

Nie mniej przykro przedstawiało się wewnątrz. Złożone z trzech izb, pełne było szpar i przepuklin, przez które wnącał⁶ się swobodnie wiatr. Wpadał do wpół zawalonego paleniska, wykręcał resztki popiołów i tłukł się w dymniku.

Najdziwniejsza jednak okazała się izba narożna, gdzie przeważnie przebywałem.

Liszaje powstałe w jednej ze ścian po oderwaniu się tynku utworzyły zagadkową figurę.

Zrazu nie umiałem uchwycić jej należyście; przerysowałem więc z wolna na papierze i oto przedstawił mi się dość dziwny obraz czy raczej jego fragment.

U spodu ściany, tuż nad podłogą odciskały się kontury nóg dziecięcych; jedna zgięta w kolanie opierała się końcem stopy o drugą, sztywnie wyprężoną ku ziemi. Tułów przechylony wstecz, dochodził mniej więcej do piersi — reszty brakło.

Małe, wątle ramiona wznosiły się w górę ruchem bezsilnej samoobrony.

Całość, mogąca wyobrażać ciało kilkuletniego chłopca, tchnęła bezwładem zwłok.

Nieco wyżej ponad tym, a w kierunku nieistniejącej głowy, widniało dwoje rąk kurczowo zaciśniętych około czego — nie wiadomo; przestrzeń między palcami była pusta. Lecz ręce te należały do kogoś innego: były znacznie większe i żyłaste. Do kogo — obraz nie wskazywał, bo urywały się już poniżej łokcia i zatracaly gdzieś na białym tle ściany.

Obraz ten, jak i cała izba miawały w słoneczne dni swe specjalne oświetlenie. Promienie, wpadając przez okna, załamywały się w taki sposób, że światło rozszczepione w krwiste okola oblewało jeden ze słupców przyciesi⁷; zdawało się wtedy, że ściekają zeń grube krople krwi i rozwodzą w kałużę u spodu.

Tłumaczyłem sobie to niezbyt przyjemne zjawisko prawami optyki i szczególnym składem chemicznym szkła w szybach, zresztą białych i nieskażenie przezroczystych.

Zbadawszy samo siedlisko, przeszedłem w sad czy ogród, stanowiący z nim jedną, nierozłączną a stylową całość.

Był bardzo stary i zapuszczony. Od lat wielu rozplenione chaszczce ujmowały go z zewnątrz zwartym żywopłotem, strzegąc zazdrośnie tajemnicy wnętrza. Wśród chorobliwie wybijających trawisk dziedzierzawy⁸ butwiały smukłe, przedwcześnie zmarniałe pnie młodych drzewin. Obaliły je nie wiatry, niemające tu przystępu, lecz powolne, zjadliwe wysysanie im żywotnych soków przez starsze drzewa. Toteż wyschły jak szkielety z liśćmi o suchotniczych⁹ wypryskach. Inne, których nie dosięgły jeszcze sturamienne ssawki olbrzymów, marły w cieniu, przesłonięte ich brutalnym przerostem.

W jednym miejscu wychyliła się młoda olcha spoza przesęł sąsiedniego dębu i z tęsknotą wyzwolin nurzała się w słońcu; wtedy dognał ją muskularnym konarem, wpoił się w mięką jeszcze rdzeń i przedarł na drugą stronę; strzępami zwisły wywleczone nerwy, w gwałtownym skurczu poskręcały się włókna i słoje. Odtąd poczęła usychać...

⁵posoka (daw.) — krew. [przypis edytorski]

⁶wnącać się (daw.) — wciskać się. [przypis edytorski]

⁷przyciesie a. przycies — w budownictwie: podstawa z odpowiednio spojonych belek, na której opiera się ściana domu. [przypis edytorski]

⁸dziedzierzawa — roślina z rodziny psiankowatych; datura. [przypis edytorski]

⁹suchotniczy — tu: wyglądający jak organizm zniszczony przez suchoty, tj. ostatnią fazę gruźlicy, prowadzącą do śmierci. [przypis edytorski]

Ówdzie wargate huby obsiadły latorośle w jadowitych pocałunkach i chłonęły im mlecz z zapamiętaniem. Jakież ohydne, krwawo nabiegłe pasożyty omotywały nieletnie pnie i dusiły je, dławiąc. Wydłużone parosć¹⁰ jaworów wspierały swój ciężar na ledwo rozrosłych szczepach i przygniatały je ku ziemi; pod nadmiernym naporem gięły się smutno ku podglebiu lub wyradzały w potwornie śmieszne karły...

W sadzie nigdy nie zalegała cisza. Wieczne jakieś kwilenia, wieczne mąciły ją jęki. Ptactwo, czegoś nieswoje, przykrym zgiełkiem zawodziło po krzewach, błąkało się po gałęziach, tuliło po dziuplach. Czasem wszczynaly się piekielne gonitwy po całym ogrodzie, gdzie zapanowywała groza walki na śmierć i życie. To rodzice ścigali swe młode; biedne, nieprzywykłe do lotu piskłeta tłukły się w daremnym wysiłku o pnie, łamały skrzydła, rozdzierały pierze, póki znużone, pokrwawione nie obsunęły się na ziemię; prześladowcy uderzali z góry dziobami tak długo, aż z rozszarpanych zwłok nie pozostało ani śladu.

Dziwny ten sad przejmował instynktownym strachem dzieci moje, gdyż unikały go, poprzestając na zabawie przed chatą. Ja, przeciwnie — prawie zeń nie wychodziłem, badając jego zwyrodniałe objawy, wżerając się coraz głębiej w jego tajniki. I nie wiadomo jak, niespostrzeżenie dałem się wciągnąć w zakłete koło, wpleść w mrowisko zbrodni i obłądu. Procesu duchowego, jaki się we mnie odbywał, nie zdołałem śledzić — wszystko zaszło prawie nieświadomie. Dziś dopiero, drogą niezrozumiałej dla mnie anamnezy¹¹ odtwarzam sobie najsubtelniejsze jego stadia.

Początkowo była mi atmosfera zagrody i jej otoczenia tak wstrętna, że gdyby nie chęć wyświecenia¹² prawdy, byłbym ją chętnie opuścił. Z biegiem czasu przyzwyczailem się do środowiska, a nawet stało mi się ono niezbędne: spoufaliłem się. Miejsce zaczęło przetwarzać mnie na swój ton i uległem prawu, które nazwałbym „psychiczną mimikrą”: dostroiłem się do tła. Pozwoliłem się zbrutalizować.

Przekształcenie zaznaczyło się dobitnie w sympatii, jaką po pewnym czasie zacząłem czuć dla pierwiastka przemocy i gwałtu przeglądającego¹³ w charakterze zagrody i tego, co się dokoła niej działo. Stałem się zły i złośliwy. Z rozkoszą łobuza pomagałem ptakom tępić potomstwo, drzewom znęcać się nad latoroślami. Inteligencja ludzka stępiała podówczas w przerażający sposób i przeszła w chęć bezmyślnego niszczenia.

Tak mijaly miesiące, a szal mój wzrastał tylko i przybierał coraz to wyuzdańsze formy. Razem ze mną jednak jakby i całe otoczenie postępowało w szaleństwie, jakby spodziewało się bliskiego rozwiązania. Musiałem i ja to przeczuć, bo przypominam sobie, jak pod koniec godzinami całymi wpatrywałem się w chimeryczny fragment na ścianie i w jego uzupełnieniu oczekiwałem klucza do zagadki. Albowiem w końcu wiedziałem tylko to, że mam coś rozwiązać, coś wyjaśnić — z tego, co się ze mną działo, nie zdawałem sobie sprawy.

Równoległe z tymi przejawami zmieniał się dziko mój stosunek do dzieci. Nie mogę powiedzieć, żebym je przestał kochać — przeciwnie; lecz miłość ta przerodziła się w coś potwornego, w rozkosz pastwienia się nad przedmiotem swych uczuć: począłem bić dzieci moje.

Przerażone, zdziwione surowością dotąd łagodnego ojca, uciekały przede mną, kryjąc się po kątach. Pamiętam te biedne, jasne oczęta zalane łzami, z cichą skargą w głębi. Raz jeden ocknąłem się. Było to wtedy, gdy mój mały, mój biedny synek wśród razów wyjęknął:

— Tato... dlaczego mnie bijesz?

Zaniosłem się od płaczu, lecz nazajutrz powtórzyło się to samo...

Pewnego dnia wstałem znacznie spokojniejszy niż przedtem i jakby odrodzony po długim, gorączkowym śnie. Jasno zrozumiałem położenie, dłużej pozostawać na tym odłudziu byłoby rzeczą niebezpieczną i dlatego postanowiłem nazajutrz opuścić je na zawsze, rezygnując z dalszych dociekań. Był to ostatni odruch woli.

Zwierzęta, Walka, Młodość,
Starość, Śmierć

Przemoc, Choroba

Przemoc, Ojciec, Dziecko,
Szaleństwo

¹⁰parosć — pęd, latorośl. [przypis edytorski]

¹¹anamneza (z gr. *anamnesis*: przypominanie) — sposób poznania danej rzeczy poprzez przypominanie sobie o niej. [przypis edytorski]

¹²wyświecenie — tu: wyjaśnienie; wydobyć na jaw. [przypis edytorski]

¹³przeoglądający w charakterze — popr. raczej: przejawiający się w charakterze. [przypis edytorski]

Tęgo wieczora, w przeddzień odjazdu siedziałem z dziećmi w izbie, wszyscy troje z zadumą patrząc przez okna na zachód, co po łańcach się płożył.

Był krwawy i smutny. Miedziane smugi światła jesiennego leżały na polach żalobą agonii, zimne, przejęte chłodem nocy, bezsilne...

W sędzie zacichło nagle, szemrały nasennie jesiony, ćwierkały świerszcze... Zaparło dech światu... Chwila naprężenia...

Leniwym przerzutem zwracam spojrzenie na kaprys ściany.

— Trzeba to uzupełnić... uzupełnić...

Ogarnia mnie czułość. Jestem dobry i łez pełen.

— Jerzy! Pójdź tu, dziecię!...

Usiada mi na kolanach ufny, wdzięczny... Musiał odczuć szczerłość w głosie... Moje ręce gładzą jasną główkę syna, z wolna obejmując szyję...

— Tato!... Nie ściskaj tak mocno! Ta-a-t...

Zacharczał...

Drugie dziecko z przestachem szybko biegnie ku drzwiom...

— Ucieknij ci...

Rzucam trupa Jerzego, doganiam córkę i jednym uderzeniem roztrzaskuję jej głowę o belkę...

Krew zmieszała się z purpurą słońca.

Tępo patrzę pod ścianę, gdzie leży syn mój: zda się przywarł do obrazu i uzupełnił go z największą dokładnością, na cal się nie wysunął poza linię.

A w rękach niezaciśniętych już więcej koło próżni, lecz miażdżących mu szyję, poznałem... moje własne...

Karawana obłądnych myśli przeciągnęła ze szczękiem, zachrzęściła szkieletami trupów i szczyła w zawiei...

Problemat zagrody był rozwiązany.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-z-wyjatkow-w-pomrokach-wiary-szalona-zagroda>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żalny, *Z wyjątków. W pomrokach wiary*, Drukarnia „Narodowa”, Lwów [1909].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Marta Golańska, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).